

Pamięć wody

JAKUB ĆWIEK

Jakub Ćwiek

Pamięć wody

WSTĘP

Dziesięć lat temu, w 2004 roku podpisałem pierwszą umowę na książkę. Było to jakoś jesienią, bodaj w październiku, mniej więcej półtora miesiąca po tym, jak wysłałem do Fabryki Słów paczkę z książką. Pamiętam jak ją nadawałem w Urzędzie Pocztowym w Prudniku, w tym samym mieście, gdzie potem w pobliskim szpitalu urodziły się moje dzieci. Mogę więc chyba mówić, że paradoksalnie, trochę przypadkiem, trochę okolicznościami – w Głucholazach nie było porodówki – Prudnik stał się dla mnie ważnym miastem...

No ale ja jakby nie o tym miałem... Selekcyjnerowi tekstów Kłamca się nie podobał, ale ponieważ wstawiła się za nim (za tekstem znaczy) Ania Kańtoch, wbrew własnemu zdaniu zdecydował się go pokazać swoim szefom. A ci uznali, że jest super i są zainteresowani. Podpisaliśmy umowę, a ja uznałem, że oto jestem pisarzem. Nieprawda, zacząłem się nim stawać dopiero od tego momentu, a mocniej od spotkania i współpracy z Marcinem Wrońskim, dziś znakomitym autorem kryminałów o retro Lublinie, a w owym czasie trochę poetą, pisarzem awangardowym i autorem świetnych, acz bardzo nie docenionych tekstów fantasy. No i rzecz jasna redaktorem, który pokazał mi tak wiele, że aż trudno opisać. Dość powiedzieć, że Kłamca, gdy wyszedł do księgarni, był może w jednej trzeciej tą książką, na którą podpisałem umowę. I dziś z perspektywy czasu uważam, że Marcin miał rację w absolutnie wszystkim.

Dziesięć lat. Kawał czasu i chyba dość, by powiedzieć, że mi się udało. Miałem momenty lepsze i gorsze, teksty z których jestem bardziej i mniej dumny, podobnie jak zawodowe decyzje. Ale jestem, trwam, a dzięki temu pisaniu poznaję niesamowitych ludzi, którzy ubogacają mnie i nakręcają do dalszej intensywnej pracy. Czy jestem już pisarzem kompletnym? Ależ skąd! Ale na pewno umiem więcej niż dziesięć lat temu. Ba, umiem więcej niż przed rokiem, a to ogromnie budująca świadomość...

Ten zbiorek to kolejny „Po gotuj z papieżem” moment podsumowań. Przeczytacie zebrane tu teksty z różnych antologii, teksty pisane na strony, do konwentowych informatorów, do gazet, jak również napisane specjalnie do tego zbiorku, ale z użyciem pomysłów, które od dawna nie dawały mi spokoju. Podobnie jak poprzednim razem umieszczam we wstępach lub posłowiach do każdego tekstu kilka spostrzeżeń, refleksji i krótką genezę opowiadań. Mam nadzieję, że to odpowie wam choć częściowo na pytania, które chcielibyście mi zadać po lekturze. Na wszystkie inne... cóż, mam nadzieję odpowiedzieć na spotkaniu. Do zobaczenia i miłej lektury.

A, ważne i warte wspomnienia. Zbiór ten jako całość – bo każde opowiadanie osobno ma swoją dedykację – dedykuję mojej mamie, która wprowadzała mnie krok po kroku w świat książek. Dziękuję, mamo.

Zwykle nie pamiętam snów, a z tych, które jednak zostały mi w pamięci liczyły się w moim życiu tylko dwa. Jeden był o Doropotworze – kobiecie z naroślą na głowie, która rozwierała się prezentując szczękę pełną ostrych zębisk – który to był moim największym koszmarem dzieciństwa. Co zabawne i znamienne sam ją sobie wymyśliłem widząc kiedyś na ulicy kobietę z taką właśnie gulą na czole. Nie wiem skąd mi, pięć czy sześciolatkowi (byłem wtedy w przedszkolu) przyszło to wtedy do głowy, ale skądś wiedziałem, że kobieta ma na imię Dorota, a w jej guli są zębiska. Brrr, to był czas, kiedy zasypiałem dopiero gdy naprawdę nie byłem już w stanie utrzymać oczu otwartych, a zmęczonym tą bezsennością rodzicom nie pomagała nawet niezawodna dotąd płyta z bajką-grajką o Piotrusiu Panie.

Drugi sen, i ten jest ważniejszy w kontekście tego opowiadania, to sen o książkach, które każdy pisarz nosi w głowie. Śnił mi się Mark Twain, a było to zaraz po tym, jak dostałem z Fabryki odpowiedź, że kupują pierwszego „Kłamcę”, który oprowadzając mnie po parku mówił, że każdy pisarz ma jeden taki tytuł, który bardzo chce napisać, ale większość tego nie robi. I że ta jedna książka, dopóki nienapisana rodzi wszystkie inne, które są oczywiście mniej warte, ale możesz mieć dziesięć czy dwadzieścia zamiast tej jednej. Jedyne problem polega na tym, że pisząc te inne wypisujesz kawałek tej jednej, aż wreszcie może się okazać, że umniejszyłeś dzieło swego życia, rozmieniając je na drobne.

Słowo daję, nie wiem skąd mi się to wzięło. Może gdzieś usłyszałem i zwizualizowałem uzupełniając o od zawsze przeze mnie lubianego Twaina. A może mnie, z braku innego słowa, oświeciło?

Tak czy owak zacząłem rozważać tę myśl pod kątem swojej pisaniny i przez długi czas miałem wrażenie, że tą moją opowieścią są ufantastycznione – choć same w sobie niezwykle – wspomnienia wojenne mojego dziadka. Teraz już tak nie sędzę, ale ta dziadkowa historia wciąż siedzi mi w głowie, zderza myśl z myślą, a z tych zderzeń biorą się czasem takie opowiadania jak to. Opowieść o snuciu opowieści i o ich sile. Jedno z moich ulubionych moich opowiadań (a to wcale nie jest tak częste, gdy to możliwe, próbuję się jednak zdystansować, w myśl, że od lubienia to ja mam innych) i bardzo mnie cieszy, że to ono właśnie zdobyło dla mnie nagrodę imienia Janusza A. Zajdla. Większą jednak nagrodą dla mnie była opinia o tym tekście Ani Brzezińskiej, którą cenię sobie wielce, a która powiedziała, że to chyba najlepszy ze znanych jej moich tekstów. I że chwyta za gardło dokładnie wtedy i tak, jak powinien.

Możecie teraz ocenić czy miała rację, przewracając stronę.

BAJKA O TRYBACH I POWROTACH

*Dziadkowi Wieškowi, pierwszemu pośród bajarzy.
Temu, którego dzieciństwo przerasta moją wyobraźnię.*

– Wróci, zawsze wraca – mówi Wiesiek.

– Wróci – powtarzają pozostali.

Najpierw starsi, potem młodszy, szeptem, jak się odmawia modlitwę podczas mszy, tak, by Bóg usłyszał, ale żeby nie przeszkadzać księdzu. Wróci, szumią jak las, gdy mocno wieje, zawsze wraca.

Wiesiek patrzy w ogień, gapi się na czerniejącą rękę Arlekina, tłące się włosy jego Kolombiny, nieopierzony kuper Złotej Kaczki, pokryty bąblami łuszczącej się farby. Na berło i koronę starego króla.

Patrzy na płomienie, bo nie ma gdzie podziąć oczu. Jeśli uniesie je tylko trochę, napotka pytające spojrzenia maluchów. Nieco wyżej zaniepokojone twarze Małgoški, Karola i Janka. A ponad nimi są już tylko gruzy pod zawalonym sklepieniem, walające się wszędzie kukły i wszechobecne kolorowe kostiumy. Te ostatnie, przywalone cegłami, wyglądają jak pogrzebane w gruzowisku ciała.

Wiesiek zna się na tym, jak zresztą wszyscy tutaj, nawet maluchy. Odkąd zaczęła się wojna, widział wiele trupów. Zbyt wiele jak na czternastolatka, zbyt wiele nawet jak na starca. Dziesiątki, jeśli nie setki, a wszystkie z oczami jak dyndające wokoło marionetki. Namalowanymi. Pustymi.

Ale on nie jest trupem, myśli Wiesiek. Na pewno nie jest. Wróci. Zawsze wraca.

W końcu unosi wzrok. Maluchy są głodne i musi je czymś nakarmić.

– Chcecie posłuchać jeszcze raz o tym, jak Franek został bohaterem? Jak to się wszystko zaczęło? – pyta.

To nie kielbasa i nie ziemniaki, ale cóż może poradzić. Nie mają nic więcej. Do czasu, aż wróci, została tylko opowieść.

METALOWY CZŁOWIEK

Przed wojną tata Franka był zegarmistrzem. Nie dlatego, że tym zajmował się wcześniej jego ojciec czy dziadek. Po prostu pewnego dnia, jako bardzo mały chłopiec, tata Franka – pan Joachim – powiedział sobie, że chce naprawiać zegarki. Dlaczego, zapytacie? Cóż, nikt nie zna prawdziwego powodu, ale ten, który w dzieciństwie podawał ciekawskim kolegom, zawsze brzmiał tak samo:

– Jestem leniwy, więc chcę się zajmować najmniejszymi rzeczami, jakie znam, bo małe rzeczy to mało pracy. A cóż jest mniejszego od trybów zegarka? Z drugiej jednak strony mam ambicję i chcę, by to, co robię, miało znaczenie dla całego świata. A któż ma na niego większy wpływ niż rządzący czasem?

Były to bowiem dni, kiedy tata Franka wierzył głęboko, że cofając wskazówki zegara, może też cofnąć godziny, zatrzymując mechanizm, zatrzymać świat, a pchając je do przodu, przyspieszyć wydarzenia.

Lata mijały, pan Joachim dorastał, w wiele rzeczy przestał wierzyć, ale marzenie o zegarmistrzowskim fachu pozostało i po kilku latach terminowania za pieniądze pożyczone od rodziców otworzył własną pracownię.

Nie była ona jak inne pracownie zegarmistrzowskie w mieście. Oprócz zegarka, który krył się w kieszonce kamizelki pana Joachima, i tego, nad którym zegarmistrz akurat pracował, nie było tam żadnych innych. Nic nie tykało w tle, nie kołysały się żadne wahadła, żadna kukułka nie pojawiała się o pełnych

godzinach. Był tylko stół, nisko zawieszona żarówka i maleńki pokrowiec z kilkoma maleńkimi śrubokrętami. Pan Joachim pracował tylko nad jednym zegarkiem naraz, nie brał innych, dopóki go nie naprawił.

Był tak dobry w swoim fachu, że wszyscy przychodzili właśnie do niego, a nawet zapisywali się z miesięcznym wyprzedzeniem, byleby tylko przyjął ich zegarek do naprawy. Inni zegarmistrzowie w mieście musieli się zadowolić wymienianiem pasków, łańcuszków czy pękniętych szkiełek chroniących cyferblaty. Żaden jednak nie miał tego panu Joachimowi za złe. Był dla nich wzorem, a poza tym wszyscy wiedzieli, że on kocha zegary prawie tak bardzo jak swojego jedyne syna. Tego nie mógł o sobie powiedzieć żaden inny zegarmistrz w mieście.

Może dlatego, że to nie była rodzinna tradycja – a może powodem było spóźnione odkrycie pana Joachima, że praca z zegarowymi trybami nie jest wcale taka lekka i łatwa, jak mu się kiedyś wydawało – zegarmistrz nie nalegał, by syn poszedł w jego ślady. Owszem, uczył małego Franka dokręcać maleńkie śrubki, sprawdzać i wymieniać sprężyny, mocować wskazówki i równomiernie dociskać szybkę, ale liczył się z tym, że chłopiec powie kiedyś:

„Chcę zostać podróżnikiem, bo czytałem fajną książkę o podróżnikach”.

Albo:

„Chcę zostać piłkarzem, bo oni podobają się dziewczynom”.

Czy wreszcie:

„Chcę polecieć na księżyc, bo Bolek mówi, że mieszkają tam księżycowi ludzie”.

Jedynym zawodem, jakiego pan Joachim nie chciał dla Franka, był zawód żołnierza. Zegarmistrz brzydził się bowiem wojną jak niczym innym na świecie. A że przeżył jedną, nie była to niechęć w rodzaju tej, gdy ktoś piszczy na widok myszy albo pająka. Na wojnie pan Joachim stracił mamę.

Tak czy owak tata Franka był otwarty na pomysły syna, ale im bardziej się otwierał, tym bardziej syn utwierdzał się w przekonaniu, że chce pójść w ślady ojca. A że miał chłopak sprawne palce i bystre oko, radził sobie naprawdę niezłe. Wkrótce na stole pod żarówką pojawił się więc kolejny zegarek – ten reperowany właśnie przez Franka.

I tak było aż do owego strasznego dnia, kiedy wybuchła wojna.

Tamtego dnia Franek i jego tata naprawiali zegar stojący – taki, co to wygląda jak szafka, a za drzwiczkami z szybką ma dwa wahadła, które robią BIM i BAM.

I to właśnie owo bim i bam w pierwszej chwili zmyliło pana Joachima i Franka. Gdy usłyszeli głośny dźwięk, pomyśleli, że to zegar.

A to było tupanie, takie ŁUP-TUP, ŁUP -TUP.

W jego takt drżała sklepowa witryna i rozłożone na stole maleńkie narzędzia.

– Co to takiego, tato? – zapytał Franek – Te odgłosy?

Stary zegarmistrz uniósł głowę, zdjął okulary i rozmasował sobie nasadę nosa.

– Brzmi niemalże jak zegar. Czy raczej jak bardzo dużo zegarów – powiedział. Sięgnął do kieszonki, wyciągnął z niej srebrną cebulę i przez chwilę wpatrywał się we wskazówki. – Do tego, trzeba przyznać, są punktualne. Sekunda trwa dokładnie sekundę i ani chwili dłużej.

Franek wiedział, że w ustach ojca to prawdziwy komplement, bo pan Joachim prawie w każdym zegarku, nawet szwajcarskim, wynajdywał wady, które powodowały opóźnienia albo przyspieszenia. W rzadko którym sekunda trwała sekundę.

– Pewnie jakiś nowy sprzedawca przyjechał do miasta. A może ktoś chce otworzyć fabrykę – powiedział wreszcie stary zegarmistrz i już-już miał się na powrót zabrać do pracy, gdy nagle zmarszczył czoło, poruszył nozdrzami jak królik i nadstawił ucha.

Franek wiedział, co to znaczy. Gdzieś w pobliżu źle pracuje mechanizm.

– Oho! – powiedział pan Joachim i uśmiechnął się pod nosem. – Wygląda na to, że ktoś nas dzisiaj odwiedzi z pilną potrzebą.

I przynajmniej w tym jednym się nie pomylił.

Zjawili się godzinę później. Z przodu rozczochrany pan Buckner, nauczyciel języków obcych mieszkający w sąsiedztwie, a za nim dwóch metalowych ludzi w czarnych skórzanych płaszczach.

Franek pierwszy raz widział takie dziwadła. Mieli głęboko osadzone czerwone żarówki zamiast oczu, dolne szczęki zamocowane na ogromnych śrubach, a z głów w kształcie walców wystawały im tysiące maleńkich kabelków, po których nieustannie przeskakiwały srebrzystobłękitne iskry. Gdy się poruszali, źle naoliwione stawy skrzypiały, a z otworów na szyi z cichym gwizdem uchodziło powietrze.

– Drogi mistrzu Joachimie – powiedział pan Buckner drżącym głosem. Tak naprawdę wcale się z zegarmistrzem nie lubili, ale dorośli czasem tak mówią bez sensu. – Ci dwaj dżentelmeni mają do pana wielką prośbę. Poza kolejką.

Pan Joachim, któremu wystarczyło jedno spojrzenie na przybyłych, a potem jedno westchnienie, by skwitować ich obecność, tylko pokręcił głową. Jednocześnie wsunął maleńką pęsetę między tryby i z mechanizmu zegara wydobył tycią sprężynkę. Przyjrzał się jej pod światło, skrzywił się z niesmakiem i odłożył ją ostrożnie na biurko.

– Panie Buckner – powiedział, odkładając pęsetę. – Przecież doskonale pan wie, że nie zajmuję się dwoma zegarkami naraz. Nigdy. Nie przyjmuję też zleceń poza kolejnością. To byłoby nieuczciwe.

Nauczyciel zerknął najpierw przez jedno ramię, potem przez drugie na jedną pozbawioną wyrazu metalową gębę, potem na drugą i do obu uśmiechnął się nerwowo.

– Chwileczkę – rzekł i przeszedł na drugą stronę biurka.

– Panie Buckner, co pan... – zaczął pan Joachim, ale sąsiad nie pozwolił mu dokończyć. Złapał go za ramię, odciągnął w ciemny koniec pracowni i zaczął coś szeptać.

Franek stał za daleko i nie słyszał dokładnie, ale dotarło do niego, że chodzi o jakąś wojnę, okupanta i wielkie maszyny w powietrzu i na ulicach. Dla chłopca, który i tak nie miał mamy – o traceniu ojców na wojnie tata przecież nigdy nie mówił – brzmiało to naprawdę fajnie. Zwłaszcza te maszyny w powietrzu: Franek wyobrażał je sobie jako wielkie mechaniczne ptaki, zdolne pożreć samolot.

I gdy tak Franek rozmyślał o samolotach, z końca pokoju wrócili pan Joachim i pan Buckner. Ten ostatni był blady jak ściana.

– Na pewno nie zmieni pan zdania, mistrzu? – zapytał. – Ci panowie potrafią się odwdzięczyć.

– Nie wątpię – odparł pan Joachim. – Mam swoje zasady i nigdy od nich nie odstępuję. W przyszłym miesiącu proszę bardzo, nawet po specjalnej cenie, ale dziś...

Bezradnie rozłożył ręce, co sprawiło, że czerwone żarówki metalowych ludzi zamigotały. Jeden z nich uniósł metalową rękę, kantem lewej dłoni odbił czubek palca wskazującego prawej i BACH, BACH! – strzelił do pana Joachima. Oddał sześć strzałów, wszystkie w równych odstępach, niczym zegarowe bim-bam. Pierwsze cztery trafiły w zegarmistrza, pozostałe wryły się w mechanizm wielkiego zegara, niszcząc go całkowicie i na amen. Wskazówki i wahadła zegara zatrzymały się. Czas nie, choć Frankowi wydawało się, że powinien.

Jeden z metalowych, ten z dymiącym palcem, odwrócił się do chłopca i popatrzył mu prosto w oczy swoimi czerwonymi żarówkami.

– TY ZE_GAR_MISTCH?

Franek zerknął w stronę ojca. Dostrzegł, że pan Joachim w zaciśniętej ręce trzyma swój zegarek, a ten wciąż chodzi. Skoro działała cebula taty, to znaczyło, że i on ma szansę.

– Tak, jestem zegarmistrzem – powiedział. – Pójdę z wami, dokąd chcecie, pod warunkiem, że sprowadzicie lekarza do taty.

Żarówki w oczach metalowego człowieka zamigotały. Franek był pewien, że zaraz sam zginie od pocisku wystrzelonego z dziurawego palca. Zamknął oczy, ale zamiast wystrzału usłyszał metaliczne, zgrzytliwe:

– DO_BSCHE!

Cóż więc Franek miał począć? Poszedł.

Wiesiek przerywa opowieść. Dorzuca do ognia drewniany karabin i papierową konchę. Wie, że następnie przyjdzie kolej na marionetki: Jasia i Małgosię, stara się więc nie patrzeć im w oczy. Nie myśleć, że bajkowe rodzeństwo nazywa się dokładnie tak jak dwójka jego towarzyszy niedoli, że są wzrostu maluchów zgromadzonych przy ogniu, a ich oczy wyglądają jak ludzkie. Bezskutecznie próbuje zapomnieć, jak pierwszej nocy w ciemności wydawało mu się, że są prawdziwi, i nawet coś do nich mówił.

Wysoko nad nimi burza grzmotów. Zapadnięty dach zrujnowanego teatru drży, sypie się kurz i gruz. Wiesiek zastanawia się, jak długo ich kryjówka wytrzyma. Czy Franek, gdy wróci, każe im się stąd wynosić?

O ile wróci, myśli Wiesiek.

I zaraz potem: Wróci, zawsze wraca.

Maluchy patrzą na niego, żadne się nie odzywa, ale to oczywiste, że czekają na dalszy ciąg historii. To ciekawość, nie strach, sprawia, że ich oczy są wielkie jak spodki.

Oby tak dalej, myśli Wiesiek i podejmuje opowieść.

Franek szedł ulicą pomiędzy dwoma metalowymi ludźmi. Pan Bruckner z przodu, jako przewodnik. Kierowali się w stronę budynku poczty.

Pozornie nic się na ulicy nie zmieniło. Na oknach jak co dnia wietrzyły się wielkie poduchy, przy straganach, w drzwiach sklepów i punktów usługowych stali kupcy wyczekujący klientów, wzdłuż krawężników tu i ówdzie parkowały samochody zamożniejszych mieszkańców okolicznych kamienic. Dzień jak co dzień, tyle że jedynym dźwiękiem, jaki unosił się nad ulicą, było ciche tykanie tysięcy zegarowych mechanizmów. Równe, miarowe, sekunda dokładnie co sekundę.

Franek przymknął powieki i wsłuchał się w ciche tik-tak, chrup, zgrzyt, tink-tink, cyk-cyk. A potem otworzył oczy i unosił głowę.

I wtedy ich dostrzegł.

Byli wszędzie. Szarzy jak ściany kamienic, trwający w bezruchu, dlatego w pierwszej chwili niedostrzegalni. Metalowi ludzie w mundurach. Wypukłe czoła gładko przechodziły w hełmy, przez co trochę przypominali grzyby. Ich oczy nie świeciły na czerwono. W ogóle nie świeciły, jakby przepaliły się tkwiące w nich żaróweczki.

Na gzymsach i dachach siedziały olbrzymie machinoptaki. Skrzydła miały z ozdobnych parawanów, metalowe brzuchy jak kotły, a pod dziobami jak wielkie nożyce – reflektory. Z grzbietów niczym kolce na smokach sterczały rzędy kominów, z których uchodziły w niebo kłęby czarnego dymu.

Gdyby teraz spadł deszcz, skrzydła ptaków na pewno by zamokły i porwały się na wietrze jak wilgotny papier, pomyślał Franek. Kto wie, może pordzewieliby też metalowi ludzie.

To była miła myśl, ale zaraz doszło do niego, że jeśli nawet ulewa zaszkodziłaby wszystkim

metalowym ludziom w mundurach, to nie zrobiłaby nic jego eskortie, bo ci dwaj mieli skórzane płaszcze. Porzucił więc wszelką nadzieję i ze zwieszoną głową wkroczył do budynku poczty. Im szybciej odrobi swoją pracę, tym szybciej wróci do taty.

A tam na stole do segregowania listów leżał... kolejny metalowy człowiek, też w skórzanym płaszczu. Od kolegów różnił się tym, że miał w piersi otwartą klapkę, z której unosił się dym.

– PO_MUSCH MÜ! – polecił metalowy stojący na lewo od Franka, ten sam, który postrzelił pana Joachima.

Jego palec wciąż wyglądał jak lufa, więc chłopiec posłusznie podszedł do stołu i odgarnąwszy listy, kartki pocztowe i stemple, uklęknął na blacie i zajrzał do wnętrza metalowego człowieka.

Oj, co się tam w środku wyrabiało! Z tysięcy zębatek wiele było już tak zdartych, że wyglądały prawie jak kółka, powyginane sprężyny powchodziły między tryby, niedokręcone śrubki chygotały się na wszystkie strony. Nic, zupełnie nic nie było w porządku i właściwie trudno było stwierdzić, co sprawia, że mechanizm w ogóle działa.

Franek odwrócił się i już miał o tym powiedzieć panu Bucknerowi, ale wtedy pan Buckner podszedł i postawił na blacie dużą czarną torbę. W środku zabrzęczały monety.

– Musisz go naprawić – szepnął. – Inaczej zginiemy.

To powiedziawszy, otworzył torbę, w której, jak się okazało, były części do zegarków. Chłopiec natychmiast zabrał się do pracy. Kto wie, jak by się potoczyła ta historia, gdyby nie to, że przejęty, podenerwowany Franek zapomniał o pierwszej zasadzie wpojonej mu przez ojca: „Gdy widzisz mechanizm po raz pierwszy, nie wyciągaj całego naraz, bo wszystko pomieszasz i potem nie będziesz wiedział, co jest do czego”.

Franek bez myślenia wyciągnął po kolei wszystkie części. No i wszystko pomieszał.

Coś drgnęło w tunelu, plusk w rurze zabrzmiał jak stąpanie, coś szarpnęło za potykacz i rozdzwoniły się dzwoneczki.

Wszyscy reagują odruchowo: Małgośka niczym kwoka zagarnia maluchy i pcha je w stronę dekoracji z królowy Śnieżki, w których schowali pistolet i kilka butelek z benzyną, Karol rzuca się w stronę sklejkowych drzewek opartych o gruz i wyciąga karabin maszynowy, a Wiesiek z Jankiem gaszą ognisko resztką kurtyny.

Trwa to ledwie chwilę. Potem przez długie minuty wyczekują, wpatrzeni we wlot rury kanalizacyjnej, będący jedynym wejściem do ich kryjówki. Maluchy wstrzymują oddechy, Małgośka i Karol z palcami na spustach modlą się o spokój. Wiedzą, że jeśli strzelą, stracą kryjówkę, bo huk poniesie się kanałami, więc nie mogą sobie pozwolić na pomyłkę.

W końcu po czasie, który równie dobrze może być kwadrans, jak i godziną, wszyscy gromadzą się znowu w jednym punkcie wokół zagazowanego paleniska. Karol mówi, że trzeba je rozpalić na nowo, i znika gdzieś. Z przeciwnego końca sali słychać pękające drewniane karki ostatnich dwóch spośród czterdziestu rozbójników. Wiesiek myśli, że zawsze to lepiej niż Jaś z Małgosią, ale przecież ich też to w końcu czeka. Wojna na górze nie skończy się przecież dziś w nocy.

A może? – myśli i w tym momencie słyszy piśnięcie. Najpierw jedno, potem kolejne. Zjawia się Karol i rzuca im coś pod nogi.

– Znalazłem gniazdo szcurów – mówi z dumą. – Nie mam pojęcia, jak się tam, cholery, zachowały.

– Nie zachowały się. To nie gniazdo, dopiero przyszły – mówi Janek. – Pewnie to one szarpnęły za linki. Kto wie, może szukały tu schronienia?

– Jeśli tak, to źle trafiły.

– Jak my wszyscy, prawda? – wtrąca Wiesiek.

Polewa benzyną szczątki rozbójników, rzuca na nie zapalnik i patrzy, jak rodzą się płomienie. Najszybciej zajmują się brody, płoną intensywnym zielonobiałym ogniem.

- Czy pan Joachim przeżył?
- Co się stało z pacjentem z poczty?
- Jak Franek uciekł metalowym ludziom?

Maluchy pytają i pytają, apetyt rośnie wszak w miarę jedzenia, a pożywiwszy się szczurzym mięsem, mają więcej sił i proszą o deser. O historię.

Wiesiek najchętniej przełożyłby dalszą opowieść na jutro, ale cóż to znaczy jutro? Tu, w ciemności, zawsze jest dzisiaj, zawsze jest teraz. Rozsiada się więc wygodnie, wzdycha i wlepiwszy wzrok w ogień, kończy historię.

- Pan Joachim niestety nie przeżył... – mówi.

Metalowi ludzie nie posłali po lekarza. Za to Franek przy swojej pierwszej samodzielnej pracy spisał się na medal, bo choć zapomniał o zasadzie ojca, użył dokładnie tylu nowych części, ile wyjął starych, a gdy w końcu znalazł kluczyk na plecach metalowego człowieka, nakręcił go, maszyna natychmiast ruszyła, pacjent usiadł, wstał i zamknął sobie klapkę na piersi.

To ostatnie zrobił tak szybko, że nikt – ani jego metalowi koledzy, ani pan Buckner, ani nawet Franek – nie zorientował się, że teraz wszystkie tryby kręcą się odwrotnie. Nie jak wcześniej, wbrew zegarowym wskazówkom, tylko zgodnie z ich ruchem. Co już niebawem miało przynieść zaskakujące skutki.

Wiesiek milknie, pokazuje, że zaschło mu w gardle. Skrzypią stawy, gdy podnosi się z kłeczek, chrzęści gruz, gdy po omacku rusza w stronę postawionego pionowo rzędu teatralnych foteli. Ostrożnie wspina się na nie i sięga po słoik ustawiony pod pękniętą rurą. W samą porę, bo z naczynia zaczynało się już przelewać.

Zabiera słoik i podstawia szyszak woja z bajki o Popielu i myszach. Potem ostrożnie schodzi po zaimprovizowanej drabinie, upija łyk wody i przekazuje słoik dalej. Najpierw starszym, bo maluchy są łapczywe i wypilyby wszystko, nie oglądając się na resztę.

No cóż, myśli, są tylko dziećmi.

Tymczasem Małgośka podjęła przerwana opowieść. A może opowiada własną? Trudno się połapać – historie, jak w życiu, splatają się ze sobą, koniec jednej jest początkiem drugiej. Wszystko jest wspólne. Jak jedzenie, które przyniesie Franek, gdy wróci. Jeśli wróci.

- Wróci – pociesza się Wiesiek. – Zawsze wraca.

A potem siada, dołącza do kręgu.

SŁONIOSMOKOMASZYNOZWIERZ

Metalowi ludzie, którzy zajęli miasto i kraj, nie przyszli sami. Przyprowadzili ze sobą najdziwsze zwierzęta na świecie, tym bardziej przerażające, że sztuczne jak ich właściciele.

Były więc bykorówki z grzbietami obciążonymi plandeką i tygrycykle z przyczepkami. Długaśne wężozwierze połykające własne ogony i w ten sposób okalające miasto kolczastym pierścieniem oraz

szybkostrzelne CeKaMamby, wijące się na dzikochodach. Z nieba zaś i dachów nieustannie łypały na mieszkańców miasta machinoptaki: lekkie, zwiewne trybwronki i ciężkie, opancerzone bombdory.

Wszystkie te maszyny były straszne, miały ostre zębiska, pazury, jedne pluły, inne ziały ogniem, wszystkim jednak daleko było do Słoniosmokomaszynozwierz. Tego bowiem stwora bali się nawet metalowi ludzie.

Było to bydlę szerokie jak ulica, z wielką trąbą, na której końcu wiecznie żarzyła się mała główka. Może i wyglądało to nieco zabawnie, biada jednak temu, kto by się z bestii zaśmiał choćby raz.

Wówczas okazywało się bowiem, że maleńka główka jest jedynie na pokaz, by się wściekać i wykrzykiwać brzydkie słowa, a prawdziwa wielka paszcza stwora kryje się niżej. Właściwie, jeśli się dobrze zastanowić, Słoniosmokomaszynozwierz był w całości – od spętanych gąsienicami łańcuchów łap po tupecik metalowego włazu – jedną wielką paszczą. Gdy się rozdziawiał, mógł naraz połknąć trzech ludzi stojących obok siebie. Wystarczyłoby, że ugięliby kolana.

I właśnie w ludziach ów wstrętny stwór gustował. W tych prawdziwych, z krwi i kości, choć i metalowymi nie wzgardził, gdy nachodził go głód. Dlatego okupanci pilnowali, by potwór był zawsze najedzony. W tym celu urządzali mlaskanki.

Gdy Małgośka opowiada, maluchy często się śmieją, bo Małgośka zna się na opowiadaniu historii jak mało kto. Franek, gdy jej słuchał, zawsze powtarzał, że będzie dobrą matką, i patrzył wtedy na nią tak, jakby się zastanawiał, czy nie jego przyszłych dzieci. Wiesiek już dawno stracił nadzieję – nie ma przecież szans z bohaterem.

Ale patrzeć nikt mu nie zabrania, więc patrzy. I słucha.

Frankowi zwykle udawało się unikać mlaskanek. Pomagał mu w tym zegarek jego taty, pana Joachima. Z zazdrości, że jakiś inny mechanizm podaje prawidłowy czas głośniejszy niż on, w obecności cudownie wyregulowanego Słoniosmokomaszynozwierz drgał nerwowo. Wystarczyło więc, że kieszeń chłopca zaczynała wibrować, i mały zegarmistrz natychmiast odwracał się na pięcie i czmych-czmych, uciekał w inną stronę. Tak to złość i zazdrość cebuli pana Joachima raz po raz ratowała jego synowi życie.

Aż pewnego dnia coś się stało. Może zegarek, mimo iż nienakręcony, starał się pilnować, by sekunda trwała dokładnie sekundę, i nie usłyszał trybów potwora? A może jego nerwowe drżenie utonęło pośród karmelków w kieszeni Franka? Trudno powiedzieć.

Niezależnie jednak od powodu tamtego dnia Franek wszedł prosto w mlaskankę, z czego zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdy bykorówka i dzikochody zablokowały oba wyloty ulicy, a w oknach i bramach pojawili się metalowi ludzie z wycelowanymi we wszystkich naładowanymi palcami.

Raz-dwa metalowi ustawili wszystkich złapanych w kolejce i wyciągnęli grube zeszyty, by zapisać sobie nazwy wszystkich smakołyków dla swojego najgroźniejszego stwora. Prowadzili bowiem badania nad gustem i smakiem Słoniosmokomaszynozwierz i szukali jego ulubionych potraw.

Szło im mamie, bo do tej pory nie potrafili się zorientować, czy Zdzisie smakują bestii bardziej niż Grzesie, a może Kubusie, Kasie albo Michalinki. Im bardziej im nie wychodziło, tym gorliwiej próbowali. I właśnie ta gorliwość i upór metalowych ludzi uratowały Frankowi życie.

Ogień w oczach Małgośki budzi w sercu Wieśka bohatera. Nie po raz pierwszy, ale za każdym razem

to nieodparte uczucie, gorące pragnienie, by zrobić coś wielkiego, coś, co przyćmi dokonania Franka, jest silniejsze. Raz zawiodło go nawet do okrągłego wylotu kanału, do chatki z tekturowego piernika, zasłaniającej wejście do ich kryjówki. Ale, niestety, ani kroku dalej.

Tym razem jest inaczej. Tym razem Wiesiek wie, że jeśli Franek nie wróci, zanim położą się spać, on przejmie na siebie jego obowiązki i zadba o resztę. Zdobędzie jedzenie, a może nawet więcej broni. I świeczki.

To wszystko mówią mu tańczące płomienie w oczach Małgośki. W uszach brzmi jej słodki głos.

Franek nie rozpoznał metalowego człowieka siedzącego na grzbiecie tygrysocykla. W pierwszej chwili nawet go nie zauważył, bo – jak wszyscy złapani w mlaskance i ustawieni w kolejce – patrzył tylko przed siebie i myślał, co to będzie, gdy weźmie go w obroty bestia. Czy zmieli go w swoich trybach, czy rozszarpie ostrymi zębiskami? Zdepcze na kotlet, upraży jak ziemniaka w ognisku? A może przełknie na surowo, mlaszcząc głośno, jak miała w zwyczaju? To były problemy, które zaprzętały głowę Franka.

– PAMIĘTASZ MNIE? – zapytał metalowy człowiek chrzęszcząco-żwirowato-szurnym szeptem. – URATOWAŁEŚ MNIE NA POCZCIE. JESTEM GERRAPHIT.

Franek zmrużył oczy, ale nawet wtedy nie zauważył w walcowatym obliczu metalowego niczego znajomego. Oni wszyscy wyglądali tak samo. Choć, gdy się zastanowić, ten mówił trochę inaczej – prawie jak ludzie, uciekały mu jedynie ze słów kreski i ogonki – i jakby się uśmiechał. To ostatnie mogło się jednak Frankowi zdawać.

– WSŁUCHAJ SIE – polecił Gerraphit.

I Franek się wsłuchał.

Usłyszał szaleńcze BUM-BUM-BUM kilkunastu serc swoich towarzyszy niedoli.

Głośne MLASKU-MLASK Słoniosmokomaszynozwierz, czającego się najpewniej za rogiem, bo stamtąd padał wielki jak dom cień.

Miarowe TIK-TAK-TIK-TAK-TIK tysięcy mechanizmów, które zawładnęły miastem. W każdym z nich sekunda trwała dokładnie sekundę, jak w zegarku pana Joachima.

Właśnie, Franek słyszał też zegarek w swojej kieszeni, jego dokładne i piękne jak zawsze TIK-TAK. Tym razem brzmiało... podwójnie?

Niemożliwe, pomyślał chłopiec, i już-już miał sięgnąć do kieszeni, kiedy Gerraphit pochylił się nad przyczepką tygrysocykla i złapał go za rękę. Następnie rozejrzał się, odchylił skórzany płaszcz i odpiął maleńki haczyk zamocowany na piersiowej klapie. Błysnęły wciąż lśniąco nowością tryby mechanizmu.

– JESTEM TERAZ NA ODWROT. DOBRY, NIE ZLY – wyszeptał. – CHCE CI POMOC.

Sięgnął do przyczepki i wyjął z niej lalkę, która wyglądała jak dziecko, ruszała rączkami i cicho pochlipywała.

– TO JEST NIEMOWLE – wyjaśnił Gerraphit. – TYLKO ZAMIENIONE W ŚRODKU. TO, CO TAM BYŁO, SIE ZEPSUŁO, WIEC ZAMIENIŁEM NA TRYBY.

Franek wziął dziecko na rękę, popatrzył na nie, a ono popatrzyło na niego.

– GDY BEDZIE TWOJA KOLEJ, DAJ SŁONIOSMOKOWI NIEMOWLE JAKO PRZEKĄSKĘ, POCZEKAJ, AZ PRZEUJE, I DAJ SIE POLKNAC.

Franek chciał zaprotestować, ale Gerraphit nagle spiął tygrysocykla, szarpnął za uzdę i ruszył, kryjąc metalową głowę w ramionach.

– ZAUFAM MI – powiedział jeszcze na odchodne i pognął przed siebie.

(...)

Spis treści

Wstęp
Bajka o trybach i powrotach
Małpki z liści
Świadectwo (live)
Spacer
Nieba i życia jak monitory
Dłużnicy
Sjuzet
Green Dale 4.0
Zawieszenie niewiary
Writers Inc
Pamięć wody